

Nie chcę Cię widzieć



Reprezentacja ma znaczenie

Niektórzy twierdzą, że reprezentacja nie ma znaczenia. Jednocześnie w mediach często pojawiają się zdania podkreślające znaczenie reprezentacji, a w wielu kampaniach można zobaczyć coraz bardziej różnorodnych ludzi. Jak to jest z tą reprezentacją?

Reprezentacja jest jednym z często poruszanych problemów w XXI wieku. Popularyzacja mediów społecznościowych dała przestrzeń dla coraz większej ilości osób na zwracanie uwagi, jak niewielka grupa ludzi jest pokazywana w filmach, serialach czy nawet w kampaniach reklamowych. Zwykle są to osoby białe, najczęściej szczupłe i pełnosprawne. Na początku zaczęto zwracać uwagę na to, by więcej kolorów skóry pojawiało się w przestrzeni publicznej, następnie by było więcej ludzi o różnych rozmiarach, a teraz przychodzi czas, by osoby niepełnosprawne także stały się widoczne w mediach.

Nie masz znaczenia

Media mają znaczny wpływ na to, jak postrzegamy rzeczywistość. W erze portali streamingowych konsumujemy więcej treści niż kiedykolwiek wcześniej, co ma ogromny wpływ na to, jak postrzegamy siebie samych oraz otaczający nas świat. Kiedy widzimy ludzi, którzy nie wyglądają jak my, osiągających sukcesy, trudno nam uwierzyć, że i my możemy je od-

nosić. Czasem możemy nawet zacząć wierzyć, że nie ma dla nas miejsca na tym świecie, który nie uznaje naszej egzystencji. O takim doświadczeniu opowiadała w jednym z wywiadów aktorka i autorka Chloé Hayden, która jest drugą na świecie autystyczną aktorką grającą autystyczną bohaterkę. Dorastając w małym miasteczku w Australii, Chloé nie widziała żadnych pozytywnie przedstawianych postaci w spektrum autyzmu, a już na pewno żadnych kobiet. Jedyną autystyczną reprezentacją obejmowała Rain Mana oraz głównego bohatera „The Good Doctor”, którzy wyglądają zupełnie inaczej niż Chloé i przedstawiają autyzm w inny sposób, niż doświadczała go dziewczyna. Chloé uwierzyła, że nie ma dla niej miejsca na tym świecie, że nie powinna być w ogóle istnieć. Brak odpowiedniej reprezentacji zawiódł małą Chloé.

Nie udawaj bycia mną

Paręnaście lat później to właśnie Chloé przechodzi do historii jako druga autystyczna kobieta grająca autystyczną postać. To Chloé staje się wzorem dla milionów dziewczyn w spektrum na całym świecie, pokazując im, że mają prawo tu być, że są wartościowe, i że autyzm nie jest ich ograniczeniem. Trudno jednak powstrzymać zdziwienie, że mamy 2023 rok, a do tej pory większość postaci autystycznych była grana przez neurotypowych aktorów. Rain Man, Sheldon Cooper czy Shaun Murphy, wszyscy aktorzy

grający te postacie nie są osobami autystycznymi. Nawet uwielbiany przez wielu główny bohater serialu „Atypowy” nie jest grany przez osobę w spektrum autyzmu. Wbrew pozorom, jest wiele autystycznych aktorów i aktorek, które mogłyby zagrać autystyczną postać i nadać jej autentyczności płynącej z życiowego doświadczenia. Dlaczego zatem tak mało autystycznych postaci w filmach i serialach jest grane przez autystycznych aktorów? Być może dlatego, że osoby w spektrum będą wymagały pewnych dostosowań, a reżyserzy często chcą wyprodukować swoje dzieła jak najmniejszym kosztem. Pytanie jednak, czy warto iść po linii najmniejszego oporu, kiedy często jest to przyczyną powielania szkodliwych stereotypów na temat ludzi, o których jest dany film bądź serial?

Nic o nas bez nas

Kayla Cromer w 2020 roku wcieliła się w rolę jednej z głównych bohaterek serialu komediowego „Everything’s gonna be okay”. Był to przełomowy moment dla Kayli, a także dla całej społeczności autystycznej – po raz pierwszy autystyczną postać zagrała autystyczna aktorka. Dwa lata później Chloé Hayden zagrała Quinni w „Heartbreak High”, serialu, który w krótkim czasie wspiął się na szczyty popularności i osiągnął status międzynarodowego hitu. Jest to tak ważne dla społeczności autystycznej, ponieważ w końcu ktoś z naszego środowiska wiernie przedstawia nasze historie, a nie jedynie

udaje, że wie, jak przeżywamy codzienność jako osoby autystyczne. Aktorzy jako jedni z nas pokazują rzeczywistość bycia autystycznymi w autentyczny sposób. My, osoby w spektrum, mamy szansę zobaczyć samych siebie na dużym ekranie i zobaczyć, że jesteśmy wartościowymi postaciami, a nie tylko problemem, co często nam się wmawia. Dla porównania wystarczy obejrzeć film „Music” z 2021 roku, którego reżyserką jest znana piosenkarka Sia. W rolę tytułowej Music wcieliła się neurotypowa aktorka Maddie Ziegler, a sam film powstał we współpracy z fundacją Autism Speaks, zniechęconą przez osoby autystyczne za demonizowanie spektrum autyzmu i próbę wyleczenia go (co nie jest możliwe). Autystycy nie byli proszeni o konsultację przy tym filmie, przez co „Music” powieli wiele szkodliwych stereotypów o osobach autystycznych, ich codziennym funkcjonowaniu i bardzo szkodliwej praktyce powstrzymywania zachowań autodestrukcyjnych. Nikt nie lubi, by mówić o nim bez rozmowy z nim, dlatego więc powstają filmy i seriale o osobach autystycznych bez żadnej konsultacji z osobami w spektrum albo seriale z neurotypowymi aktorami grającymi autystyczne postacie? My także mamy prawo być bohaterami porwijających historii. Jesteśmy tutaj i nasz głos ma znaczenie, bez względu na to, co próbują nam przekazać media.

Julia KWAŚNIEWSKA
julkwa1@st.amu.edu.pl



Przylądek migracyjnej nadziei s. 2

Polecamy



Zwierzęta jako pomoc psychiatryczna s. 4
Recenzja III sezonu „The



„Mandalorian” s. 5
Sylwetka Sifan Hassan



s. 7

Od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

Maj przywitał nas słońcem i beztruską, choć do odpoczynku od studenckich obowiązków mamy jeszcze kilka tygodni przed sobą. To również miesiąc pełen wydarzeń: Juwenaliów, Wielkiej Gali WNPiD, a w czerwcu pojawią się oczywiście na Wielkim Grillowaniu. Życzymy Wam jak najlepszej zabawy na każdym z wydarzeń, a jeśli nie będziecie mieć możliwości udziału gwarantujemy, że redaktorzy BUC-a wszystko Wam zrelacjonują. A w najnowszym wydaniu przeczytacie o tym, dlaczego reprezentacja jest ważna, jak dużym wsparciem emocjonalnym dla człowieka potrafią być zwierzęta oraz o enigmatycznie brzmiącej dysmorfofobii. Nasze redaktorki i redaktorzy dokładnie przeanalizowali III sezon „The Mandalorian”, nowy album Aviego, jak i grę „Honkai Star Rail”. Przybliżamy również aktywność polityków na TikToku oraz sylwetkę wyjątkowej biegaczki Sifan Hassan. Na termometrach coraz wyższe temperatury, dlatego, korzystając z dobroci ciepłych dni, nie wahajcie się dodać do nich nowego numeru BUC-a czytanego pod chmurką. Życzymy Wam przyjemnej lektury!

Redaktor Naczelna
Daria Bajorek



Redaktor miesiąca



Agata Mania

Cześć! Jestem Agata i od trzech lat studiuję dziennikarstwo na WNPiD. Do BUC – a trafiłam dzięki znajomym z roku, którzy zachęcili mnie, by raz na jakiś czas wystukać jakiś artykuł. Na co dzień nie mam na to wiele czasu, ponieważ pracuję w trzech różnych zawodach, a dokładanie sobie wyznań to moje drugie imię. Od czasu do czasu wydam jakąś książkę, skoczę do teatru/kina, poczytam, co zmalowały moje koleżanki autorki, pośpiewam, potańczę lub sama potrenuję jazdę konną. Jednym słowem – człowiek orkiestra.

Włochy jako migracyjny przylądek nadziei?

Włochy kojarzą się z upalnymi wakacjami, fotografiami w nostalgicznej sepii i piosenką zespołu Beirut. Azyl miłośników renesansu i turystyki stał się jednak w ostatnim czasie również wyobrażeniem dosłownego azylu dla tych, którzy potrzebują go najbardziej – migrantów oraz uchodźców. Jak jednak kończy się dla nich dążenie do realizacji nie tylko marzenia, ale i także fundamentalnej ludzkiej potrzeby, którą jest poczucie bezpieczeństwa?

O kryzysie uchodźczym mówi się niewiele. Wiemy, że się dzieje, ale na jaką skalę? Czy pamiętamy o tym, że każdego dnia liczne statki wypływają z różnych portów ubogich państw w kryzysach, aby znaleźć bezpieczny ląd w ramionach mlekiem i miodem płynącej Europy? Raczej ta wiedza jest niszową w Polsce, dopóki nie dotyczy naszych granic. Rzadko kiedy media przypominają nam, że od 2015 roku kryzys migracyjny przybiera kolosalne rozmiary. Sam szlak z Libii do Włoch w przeciągu ostatnich ośmiu lat pozbawił szans na odmianną losu już ponad siedemnaście tysięcy ofiar. A liczba ta rośnie, z miesiąca na miesiąc.

Szansa na szczęście?

Przez Libię przedostają się przedstawiciele wielu narodowości, obywatele wielu cierpień i traum. Miejsce to jest wybierane jako punkt rozpoczęcia podróży z tytułu łatwości uzyskania kontaktu z przemytnikiem; chaos i niestabilność sytuacji w państwie ułatwia rozkwit rynku. Łatwy dostęp do usługi nie daje jednak równie przyjemnej i prostej przeprawy do celu; wręcz przeciwnie. Trasa ta jest uznawana za jedną z najniebezpieczniejszych, której wielu nigdy nie dokończy, pozostając na zawsze w drodze. Tak niepewna i niebezpieczna podróż wydaje się pochopną decyzją. Do jej podjęcia popychają jednak bardzo trudne, bolesne doświadczenia: decydują się na nią mieszkańcy Somalii, Erytrei, Nigerii, Syrii czy Afganistanu. To państwa, które w większości są w stanie wojny, wielkiego kryzysu, albo pod rządami dalece niedemokratycznymi. Zdecydowanie są to osoby, które potrzebują, a przede wszystkim zasługują, na wsparcie.

Pożegnania w powitaniach

Wsparcie i pomoc humanitarna pokrzywdzonym kryzysami najuboższych państw powinny być czymś powszechnym i oczywistym; skąd więc ustawa włoskiego parlamentu, jawnie mająca utrudniać pomoc humanitarną na morzu? Dlaczego premier Georgja Meloni tak radykalnie ustrzegła się działalności na poczet wsparcia Li-



Zaledwie w przeciągu jednego dnia do wybrzeży naddciągają todzie przepelnione setkami uciekinierów...

bijczyków? W 2017 roku został podpisany włosko-libijski pakt o kontrolowaniu nielegalnej migracji. Oczywiście wydaje się, że nie miał na celu czulego wsparcia tych, którzy tracą życie w trakcie podróży, a raczej wpłynięcie w sposób materialny na większą kontrolę wypływających z Libii statków przed jej władze, aby ograniczyć napływ migrantów. Było to sprytne posunięcie – Unia Europejska nie pozwala na pozbywanie się uchodźców, stąd też libijskie organy państwowe miały zwracać statki jeszcze na wodach państwowych. Osoby, które zostaną w ten sposób przyłapane, są zamykane w aresztach, które są nimi jedynie w teorii; w praktyce pobyt w nich kończy się w najlżejszym wydaniu głodówką i przemocą fizyczną, a w najgorszym nawet handlem ludźmi i niewolniczą pracą. Brzmi dalece nielegalnie, a jednak – rzekomo wszystko jest tu prawnie uregulowane. Przynajmniej po włoskiej stronie oceanu...

Bezradność siewcą rozpacz

Prawo jest materią teoretyczną – a teoria rzadko kiedy ma wiele wspólnego z humanitaryzmem, w szczególności, gdy mają miejsce sytuacje tak nieprzewidywalne. Pracownicy organów państwowych Włoch bezradnie wskazują w rozmowach z dziennikarzami z Al Jazeera, że ich ingerencja jest awykonalna. Wyrażają oni przekonanie, że jedynym realnym wsparciem dla osób dążących do odnalezienia spokoju na włoskich wybrzeżach będą organy Unii Europejskiej. Nie ma jednak żadnych doniesień, które wskazywałyby, iż UE wprowadza w życie jakiegokolwiek plany dotyczące włoskiego kryzysu migracyjnego. ONZ natomiast od lat jest na terenie Libii, jednak nie może ingerować w funkcjonowanie i działalność ośrodków detencji. Premier Włochów rzekomo rozważa wdrożenie w życie funduszu na wsparcie humanitarne osób, które przybędą z wybrzeży Libii do Włoch – jednak czy to zmieni jakkolwiek

sytuację przybywających? Czy pieniądze da się wykupić ich wolność i pomoc poskładać życie na nowo? Wydaje się to totalnym absurdem, skoro Unia Europejska wydaje setki tysięcy na finansowanie organów państwowych Libii, które i tak wykorzystują je na karanie tych, którzy próbują uciekać. Nie bez przyczyny organizacje humanitarne takie jak Amnesty International, Humans Right Watch, nagłaśniają tę niegodziwą sytuację, nazywając je mianem współdziałania w zbrodni na ludzkości. I słusznie.

Kryzys w kryzysie

Kryzys uchodźców przestaje być jedynie codziennością uciekających od ciągłego bólu. Na początku kwietnia ONZ odnotowało najwyższą liczbę osób uciekających z ojczyzny własnych traum i problemów; w przeciągu zaledwie trzech dni na terytorium Włoch dopłynęło około dwóch tysięcy osób. Co gorsza, ONZ alarmuje, że jednocześnie od 2017 nie było tak wysokiego wskaźnika śmierci migrantów w trakcie swojej przeprawy na lepszy ląd. Wskazuje się, że powyższe statystyki ujawniają aż 300-procentowy wzrost napływu migrantów, co stanowi nie lada problem dla „włoskiej infrastruktury” – tak relacjonował to włoski minister ds. morza i ochrony ludności Nello Musumeci. To właśnie z tego tytułu wprowadzono stan wyjątkowy na terenie całego kraju.

Al Jazeera, Euractiv, Amnesty Intl. i HLW wskazują jednak, że żadne stany wyjątkowe, pożyczki i fundusze nie dadzą trwałych efektów, jeśli nie zainterweniują w sposób czynny, zaangażowany i – przede wszystkim – efektywny organy Unii Europejskiej. Czy tak się jednak stanie? Pozostaje nam jedynie wyczekiwać kolejnych wieści i być na bieżąco z tą jakże istotną sprawą.

Karolina GOŁASZEWSKA
kargol7@st.amu.edu.pl



Wydawca
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140

Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelna
Daria Bajorek

**Zastępca redaktora
naczelnego**
Maria Lutkowska

Sekretarz redakcji
Karolina Hałabis

Numer makietałowa
Daria Bajorek

Wydawca numeru
Daria Bajorek

Redakcja merytoryczna:
Olga Rydzewska,
Wiktor Kepiński
Natalia Budna
Eryk Więsyk
Milena Mrozek

PR i Social Media
Hanna Kulak
Milena Mrozek
Karolina Szymczak
Hanna Yankouskaya

Korekta
Maria Lutkowska
Alicja Melanowicz
Natalia Rogowska
Izabela Tomaszewska

Redakcja
Daria Bajorek
Aleksandra Białas
Julia Biskup
Natalia Budna

Bartosz Chalupka
Oleksandra Dubova
Karolina Gołaszewska
Milena Guzik
Karolina Hałabis
Evgeniya Ivanushchenko
Dominik Janicki
Bartosz Kabaciński
Julia Kaczmarek
Wiktor Kepiński

Aleksandra Kłosowska
Karolina Kozłowska
Michał Kubisiak
Hanna Kułak
Julia Kwaśniewska
Kamil Kwiatkowski
Kacper Lewandowski
Maria Lutkowska
Jonasz Ławniczak
Magdalena Maciejewska

Bartosz Maluski
Agata Mania
Paweł Mańkowski
Jakub Marciniak
Mateusz Markiewicz
Alicja Melanowicz
Olga Michalska
Milena Mrozek
Marcin Nowicki
Natalia Rogowska
Olga Rydzewska

Michał Rzeźnik
Anastasiya Shcherba
Emilia Szobodzińska
Karolina Szymczak
Izabela Tomaszewska
Eryk Więsyk
Kinga Wiśniewska
Michał Wybrański
Hanna Yankouskaya

Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna
Lesław Ciesiołka

Skład komputerowy
Tomasz Szukała

Druk
Drukarnia w Bydgoszczy
ul. Grunwaldzka 229
85-438 Bydgoszcz

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania nadesłanych tekstów.

TikTok od zawsze kojarzył mi się z „odmóżdżającym” zabijaczem czasu. Z relaksem, zaspokajającym potrzebę szybkiej dopaminy, niemającym nic wspólnego z poważnymi sprawami. Okazuje się jednak, że nawet on stał się areną za ciekłych walk. Walk polityków.

TikTok to platforma głównie dla ludzi młodych. Według statystyk (The Social Shepherd) 25% jego użytkowników to młodzież w wieku 10–19 lat, później młodzień dorośli (20–29 lat, 22,4%), z kolei 21,7% oglądających stanowią ludzie w wieku 30–39 lat. Statystykę domykają osoby w przedziale 40–49 lat (20,3%) oraz 50+ (11% użytkowników). Większość z nich szuka tam rozrywki. Na drugim miejscu jest taniec, na trzecim pranki, później znajdziemy modę, fitness, sport i gotowanie. No i gdzie tam polityka? Użytkownicy jej nie szukają, ale jednak ją tam dostaną. I to w niemałych ilościach.

Liczbę mówią same za siebie

Filmy publikowane przez polityków cieszą się popularnością. Niektórzy z nich w liczbach potrafią dorównać nawet celebrytom. Dotyczy to również partii. Na szczycie podium znajduje się Konfederacja, mogąca pochwalić się wynikiem 156,2 tysięcy obserwujących i 2,5 miliona polubień. Drugie miejsce zajmuje Lewica (144 tys. obserwujących i 3,2 mln polubień). Nie próżnuje też Agrounia, posiadająca prawie 100 tysięcy obserwujących i blisko milion polubień. Partie o ugruntowanej pozycji jak Platforma Obywatelska czy PiS nie przekraczają 30 tysięcy „followersów”.

Inaczej jest z politykami. Tutaj na podium znajdują się: lider Nowej Nadziei Sławomir Mentzen (742 tys. obserwujących i 14,3 mln polubień), Robert Biedroń, Nowa Lewica (544 tys., i 10,5 mln), Wanda Nowicka, Nowa Lewica (537 tys. i 12,5 mln). Lekko w tyle zostają szef PO Donald Tusk (228 tys. i 3 mln), lider Agrounii Michał Kołodziejczak (55 tys. i 462 tys.), posłanka KO Klaudia Jachira (30 tys. i 500 tys.), poseł Lewicy Krzysztof Śmiszek (97,4 tys. i 1,9 mln), czy poseł KO Andrzej Halicki (92 tys. i 1,6 mln), pokazujący życie polityka i miłośnika psów.

Pogoń za nieistniejącymi kanonami piękna modyfikuje standardowy archetyp kobiety i mężczyzny, a także zmienia nasz sposób postrzegania własnego ciała. Idealne sylwetki przedstawiane w mediach społecznościowych oraz intensywny rozwój medycyny estetycznej napędzają rywalizację, w której głównym motorem napędowym staje się współcześnie kreowana definicja piękna. Nie zdajemy sobie sprawy, że wyścig o perfekcję nie ma mety. Tak właśnie dochodzi do powstawania zaburzeń postrzegania ciała, które określane są jako dysmorfofobia.

Współczesne społeczeństwo jest intensywnie związane z mediami społecznościowymi, które posiadają ogromny wachlarz oddziaływań. Samoświadomość w obrębie fizyczności stymulowana jest za pomocą treści przedstawianych w najpopularniejszych kanałach social media. W XXI wieku ciało stało się pożądaną i atrakcyjną wartością, która przyciąga uwagę odbiorców na platformach społecznościowych. Idealna sylwetka bez cellulitu, nieskazitelna cera bez zmarszczek, czy wąska talia z doskonale podkreślonymi mięśniami brzucha to determinanty, które bardzo często możemy zaobserwować na udostępnianych przez użytkowników zdjęciach.

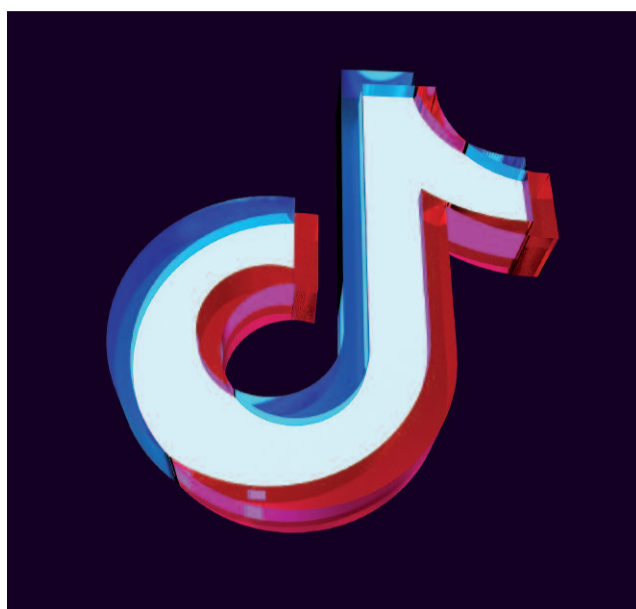
Mentalny obraz ciała w XXI wieku

Regulama obserwacja tego typu treści zmienia zbiorową świadomość w obrębie postrzegania wyglądu fizycznego. Między innymi to właśnie dlatego nauki społeczne zaczęły zwracać większą uwagę na tematy związane z cielesnością oraz mentalny obraz wyglądu fizycznego wśród ludzi. Podjęto też wzmoczone badania w obrębie zniekształceń psychicznych, które powiązane są ze sposobem postrzegania ciała. W ciągu ostatnich kilku lat dokonano dogłębnej klasyfikacji zjawiska dysmorfofobii, czyli zaburzenia, które cechuje się ciągłym dążeniem do perfekcji w obrębie wyglądu zewnętrznego.

Dysmorfofobia a kompleksy

Dysmorfofobia to dosłownie lęk przed brzydotą. W angielskiej terminologii naukowej to zjawisko określane jest jako Body Dysmorphic Disorder, czyli cielesne zaburzenie dysmorficzne,

TikTokowi łowcy dusz



Czy TikTok pomoże politykom zdobyć poparcie młodych?

Jeśli podsumujemy profile wszystkich graczy działających na TikToku, inne kanały publikujące treści związane z polityką, shoterów, czy po prostu śmieszne urywki z polskiego życia publicznego, wyjdą nam sumy przekraczające kilkadziesiąt milionów odsłon. Jeśli spojrzeć na liczby najbardziej oglądanych polityków, to, jak wspomniałem powyżej, dorównują one celebrytom. I tak Sławomir Mentzen może konkurować z Dagmarą Kaźmierską (784 tys. obserwujących) czy Donaldem Tuskiem z Kubą Wojewódzkim (206 tys.).

Nowe pole bitwy

Środki przekazu się zmieniają, jednak idea pozostaje ta sama. Walka toczy się o poparcie młodych. Nieoglądających telewizji,

ale „siedzących” na TikToku, Instagramie czy innych mediach społecznościowych. Polityk w oczach młodego człowieka staje się celebrytą. Kiedyś, gdy ktoś występował w telewizji, oznaczało to, że jest sławny, znaczący, mający za sobą oddanych ludzi. Teraz popularność demonstruje się nie przez merytorykę, tylko liczbę obserwujących, polubień i ilość czasu, który użytkownik poświęca na to, żeby jak najszybciej zapoznać się z pokrótce przedstawionymi poglądami oglądanej przez siebie osoby.

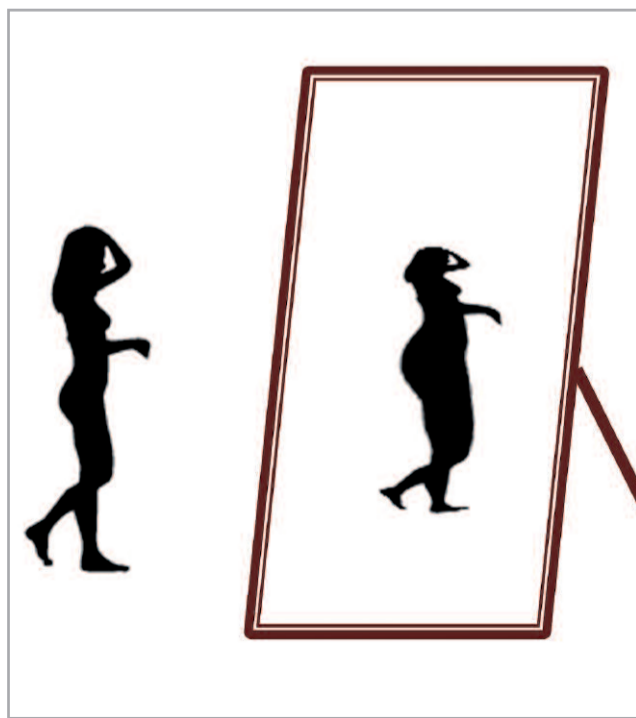
Często są to ataki. Ofensywa. Jedni na drugich. Od prawej do lewej strony. Tak jak w telewizji. Pomieszenie obietnic i kiełbas wyborczych ze zwykłym populizmem mającym zachęcić do postawienia krzyżyka na karcie wyborczej przy nazwie partii czy nazwisku kandydata. Młody człowiek słyszy obietnice ścięcia lub usunięcia większości podatków (patrz: Konfederacja), innym razem dowiaduje się o tanich mieszkaniach i hipokryzji przeciwników (patrz: KO/Lewica). Widzi, jak nawet starsi i wytrawni politycy próbują się z nim utożsamić (patrz: Donald Tusk). Bywa zagubiony w szumie informacyjnym, próbuje znaleźć swoją tożsamość pośród wielu ideologicznych ofert. Mogą one nieść wypaczony obraz rzeczywistości i relacji międzyludzkich, a dodatkowo, dzięki algorytmom, sprzyjać polaryzacji.

Walka polityków o „rząd dusz” młodych, głównie z pokolenia Z, narasta i będzie się rozkręcać z zawrotną prędkością. Do tej pory to Twitter był platformą, na której można było zapoznać się bliżej z politykami. Jednak Twitter to tekst, a TikTok to obraz, filmik, nawet piętnastosekundowy. Czy w takim razie zastąpi Twitera? Czy szybki film zajmie miejsce równie szybkiego słowa pisanego? To otwarte pole do dyskusji. Pomimo częstych skrótów myślowych używanych przez polityków na TikToku, zachęcam do zapoznania się z profilami ich wszystkich. Tych prawych i tych lewych. Ale przede wszystkim radzę zachować krytycyzm.

Jakub MARCINIAK
jakmar13@st.amu.edu.pl

Obsesja piękna w XXI wieku

natomiast w klasyfikacji Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego DSM III z 1980 roku nazwano je „zaburzeniem obrazu ciała”. Należy jednak pamiętać, że dysmorfofobia jest schorzeniem opisującym szereg zachowań dotyczących nie tylko cielesności, ale także innych aspektów fizycznych, związanych z wyglądem zewnętrznym. Osoby borykające się z dysmorfofobią często klasyfikowane są jako jednostki zakompleksione, mające niskie poczucie własnej wartości, ale niekoniecznie dotknięte realnym problemem. Bagatelizacja zaburzeń w tym obszarze może generować wiele innych chorób natury psychicznej, takich jak zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, zaburzenia odżywiania, depresja, czy fobia społeczna. W przy-



Osoby borykające się z dysmorfofobią mają zaburzony obraz własnego ciała

padku dysmorfofobii zmiany w wyglądzie fizycznym stają się bodźcem, który napędza niezdrową relację z własnym ciałem. Wszystko, co niepoddane modyfikacji, staje się w oczach tych osób nieatrakcyjne, brzydkie i nieakceptowalne. Taki sposób postrzegania siebie znacząco wpływa na sferę emocjonalną i relacje z innymi.

Kreacja piękna w mediach społecznościowych

Współczesne kanony piękna sprawiają, że wiele osób, a w szczególności ludzi młodych, dostrzega w sobie pewne defekty. Tak rozpoczyna się pogoń za perfekcją wizualną, która kreowana jest na podstawie obrazków dostępnych w najpopularniejszych aplikacjach. Obrazków, które często modyfikowane są za pomocą edytorów zdjęć. Błędne koło w dążeniu do idealnego wyglądu jest zgubne, ponieważ dostarcza chwilowego poczucia spełnienia. Kiedy zauważamy w sobie pewne niedoskonałości, głównym celem staje się działanie mające na celu ich eliminację. Jeśli uda nam się spełnić określony cel, to mimo wolnie odczuwamy zadowolenie. Osoby borykające się z dysmorfofobią zaczynają niejako uzależniać się od stanu, który można utożsamić z przelotnym poczuciem satysfakcji. Wkrótce znajdują kolejną „niedoskonałość” wymagającą ich zdaniem poprawy. Zmiany w ciele często dokonywane są za pomocą inwazyjnych technik i metod.

Całe to złudne, błędne koło w dążeniu do perfekcji nabiera coraz większego rozpędu również za sprawą dynamicznego rozwoju medycyny estetycznej. Szereg inwazyjnych zabiegów dostępnych jest na wyciągnięcie ręki. Wielu influencerów i influencererek przez lata reklamowało tego typu treści, ponieważ kliniki i gabinety oferowały im benefity finansowe w zamian za promocję. W tym obszarze możemy zaobserwować jednak pozytywne zmiany. W nowelizacji ustawy o wyrobach medycznych z 7 kwietnia 2022 roku zakazano promocji medycyny estetycznej w social mediach. Regulacje weszły w życie 1 stycznia 2023 roku. Dla osób borykających się z dysmorfofobią może być to istotna zmiana, która uchroni przed zgubnym wachlarzem oddziaływań, jaki serwują platformy społecznościowe.

Milena MROZEK
milmro1@st.amu.edu.pl

Czworonożne wsparcie

Od wieków znane są korzyści płynące z posiadania zwierząt. Badania potwierdzają, że pupile mogą wspierać osoby z problemami fizycznymi, psychicznymi i emocjonalnymi. Poprawiają ich samopoczucie, łagodzą niepokój i pozwalają poczuć się bezpieczniej. Obecnie popularność zyskują terapie z udziałem zwierząt, takie jak dogoterapia czy felinoterapia.

Z tych właśnie powodów coraz więcej osób decyduje się na posiadanie zwierzęcia wsparcia emocjonalnego, czyli ESA (ang. emotional support animal). Dzięki specjalnym regulacjom, osoby z niepełnosprawnościami czy cierpiące na zaburzenia psychiczne mogą zabierać swojego pupila w miejsca, w których czują się niepewnie, na przykład na pokład samolotu. Jest to stosunkowo nowa koncepcja, która nie została jeszcze uregulowana w polskim prawie. Nie przestaje jednak wzbudzać kontrowersji.

Zwierzęta na ratunek

Istnieje wiele schorzeń, w przypadku których zwierzęta zapewniają wsparcie emocjonalne i pomagają w walce z chorobą. Naukowcy z Duke University – Evan L. MacLean i Brian Hare – odnotowali, że interakcje z psami zwiększają produkcję oksytocyny w mózgu, który to hormon oddziałuje przeciwdepresyjnie. Zmniejsza również niepokój i ułatwia tworzenie więzi społecznych. Posiadanie zwierząt wpływa też korzystnie na serce. Jak napisano w artykule „Terapie z udziałem zwierząt w leczeniu i rehabilitacji chorych i niepełnosprawnych” umieszczonym w publikacji „Medycyna Rodzinna”, głaskanie i mruczenie kota daje efekt uspokajający, zmniejsza stres, obniża tętno oraz ciśnienie krwi. Badania naukowe opublikowane w 2009 roku w „Journal of Vascular and Interventional Neurology” wykazały nawet, że opiekunowie kotów są znacznie mniej narażeni na ryzyko zawału serca. Za to w artykule „Felinoterapia jako alternatywna forma terapii z udziałem zwierząt” umieszczonym w czasopiśmie „Medycyna Weterynaryjna” napisano, że przebywanie z czworonożnym przyjacielem pomaga w walce z samotnością osobom cierpiącym na przewlekłe bóle, depresję, zaburzenia lękowe, przechodzącym żalobę czy zmagającym się z PTSD. Zwierzęta potrafią też interweniować w sytuacjach kryzysowych. W 2015 roku w Czeladzi pies uratował miesięczne niemowlę przed śmiercią łóżeczkową, szczekaniem alarmującym

babcię dziewczynki, że ta przestała oddychać we śnie. Znane są także przypadki kotów, które ostrzegały właścicieli przed atakami epilepsji.

ESA – czym są?

Emotional support animal to określenie, które pierwszy raz zostało użyte przez Departament Transportu USA, w celu uregulowania transportu zwierząt w samolocie. Zgodnie z zasadami zwierzę wsparcia emocjonalnego ma łagodzić przynajmniej jeden objaw niepełnosprawności czy zaburzenia u swojego właściciela. Takim zwierzęciem może być kot, pies, a nawet królik. Uznanie pupila za ESA umożliwia przewożenie go w kabinie samolotu, zwalnia z restrykcji dotyczących zakwaterowania, a nawet pozwala na wstęp do sklepów i restauracji. Warto wspomnieć, że ESA różni się od service animal (ang. zwierzę-pomocnik), takiego jak pies przewodnik. ESA nie są specjalnie wyszkolone, nie potrafią prowadzić swoich opiekunów czy pomagać im w czasie napadu padaczkowego. Natomiast service animals są automatycznie zwolnione z zakazu przebywania w pomieszczeniach nieprzeznaczonych dla zwierząt.

ESA w praktyce

W niektórych stanach USA z powodzeniem funkcjonuje pojęcie zwierzęcia wsparcia emocjonalnego. Jednakże, aby móc korzystać z przywilejów prawnych, potrzebny jest specjalny certyfikat. Dokument taki można uzyskać po konsultacji z psychiatrą, który określa, w jaki sposób schorzenie utrudnia życie pacjenta i uznaje, że wsparcie pupila jest koniecznością. Musi również zaświadczyć, że zaburzenie, na które cierpi właściciel, znajduje się w „The Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders”, czyli na przykład choruje na depresję lub ADHD. Można otrzymać odnawialną licencję ESA, której ważność najczęściej trwa rok.

Z zasady podróżowanie samolotem z ESA jest bezpłatne. Jednak, aby wpuścić je na pokład, linie lotnicze wymagają dodatkowych formularzy wypełnionych do 48 godzin przed wylotem. Zaświadczają one, że ESA jest szczepione i nie zagraża innym pasażerom. Niestety w Europie, w tym w Polsce, niewiele linii lotniczych zgadza się na ich przewóz. W naszym kraju przewożenie zwierząt ważących maksymalnie 8 kilogramów na pokładzie samolotu jest możliwe jedynie za dodatkową opłatą (dotyczy to np. LOT-u). Jeśli jednak planujemy lecieć do USA, możemy sprawdzić, czy linia, z którą podróżujemy, pozwala na towarzystwo ESA. Warto doczytać też, czy wymagane są do-



Zwierzęta często stają się wsparciem emocjonalnym dla człowieka

datkowe procedury, takie jak posiadanie kagańca lub czy istnieje ograniczenie gabarytowe.

Kontrowersje związane z ESA

Mimo że w USA przewóz ESA na pokładzie samolotu jest legalny, znane są przypadki nadużyć. Pięć lat temu pitbull, zarejestrowany jako ESA, ugryzł dwóch pracowników Delta Air Lines. Po tym zdarzeniu linie określiły listę gatunków zabronionych. Podejmowano również próby przewożenia bardziej nietypowych ESA, takich jak kuczki, węże, a nawet świnię. Za to w 2018 roku pewna Amerykanka próbowała podróżować ze zwierzęciem wsparcia emocjonalnego, którym był... pokaźny paw.

Choć coraz częściej słyszy się o zwierzętach wsparcia emocjonalnego, które mają zapewniać komfort osobom z zaburzeniami psychicznymi i niepełnosprawnościami, europejskie linie lotnicze podchodzą z rezerwą do tej koncepcji. Być może niepokoją je doniesienia o licznych nadużyciach docierające z USA. Czy doczekamy się usankcjonowania statusu ESA w Polsce? Dowiemy się w najbliższych latach.

Natalia BUDNA
natbu2@st.amu.edu.pl

W kwietniu paryska Fundacja Louisa Vuittona została gospodarzem wystawy „Warhol x Basquiat, na cztery ręce”. To pierwsza taka wystawa, na której można obejrzyć efekty współpracy między jednymi z najbardziej znanych nowojorskich artystów lat 80.

Tytuł „na cztery ręce” nie jest jedynie metaforą, a odniesieniem do sposobu, w jaki współpracowali artyści. Łącznie, stworzyli razem około 160 prac, z czego 70 wystawionych jest właśnie w Fundacji Louisa Vuittona w Paryżu. W 2018 roku Fundacja gościła również wystawę „Jean-Michel Basquiat”, w całości poświęconą młodemu artyście, a „na cztery ręce” jest jej kontynuacją – tym razem ukazując wpływ Andy’ego Warhola na twórczość Jeana-Michela. Od kwietnia do sierpnia, odwiedzający będą mogli cofnąć się w czasie i zobaczyć lata 80. oczami Warhola i Basquiata.

Zaczął się od polaroidu

Ich pierwsze spotkanie miało miejsce w 1982 roku. Zainicjował je ceniony galerzysta Bruno Bischoffberger, w nadziei, że zapoczątkuje ich twórczą współpracę – i w tym się nie pomylił. Artyści zjedli razem lunch, zrobili sobie zdjęcie Polaroidem, a Basquiat otrzymał zamówienie na portret Warhola, który ukończył następnie w dwie godziny w swoim studio. Jego asystent biegł do Factory Warhola z gotowym, mokrym jeszcze płótnem, ponieważ było zbyt duże, by zmieścić je w taksówce. Przedstawiciel pop-artu był dogłębnie zaskoczony tempem, ale i zachwycony efektem, jaki osiągnął Basquiat. Na widok płótna miał stwierdzić: „Jestem naprawdę zazdrosny – jest szybszy ode mnie”. Ich krótka, ale za to jak intensywna, współpraca, trwała od 1983 do 1985 roku.

Rozmowa przez malarstwo

Keith Haring – artysta, który obserwował rozwijanie się ich przyjaźni i współpracy zauważył, że „rozmowa odbywa się tu poprzez

Spotkanie w Paryżu

malarstwo, bez użycia słów”. Główny kurator wystawy Dieter Buchhart, dla magazynu „Artmajeur” skomentował: „To zdecydowanie najbardziej udana współpraca w historii sztuki między dwoma wspaniałymi artystami”. Z kolei Dyrektor artystyczna Fundacji, Suzanne Page, w wypowiedzi dla AFP News Agency stwierdziła: „To nie jest ani Warhol, ani Basquiat, ale pojawia się trzeci artysta”. Zauważa, że para artystów „grała ze sobą i prowokowała się z wielką hojnością”, a „Warhol pozwolił, aby interwencje Basquiata całkowicie go obalily”. Obrazy zaczynał zazwyczaj Andy Warhol, a dopiero później własne elementy dodawał Basquiat, często rekonstruując ikoniczne, pop-artowe fragmenty Warhola. Komentując współpracę, Warhol zaznaczył, że „obrazy, które wspólnie malujemy, są lepsze, gdy nie wiadomo, kto co zrobił.”

Z wnętrza wystawy

Wystawę otwierają portrety artystów, po czym odwiedzający krok po kroku obserwują, jak twórczość Warhola i Basquiata stopniowo ewoluowała. Oprócz dzieł stworzonych wspólnie, zobaczymy również prace indywidualne obu artystów, jak i dokumenty, fotografie i inne osobiste przedmioty należące do każdego z nich – co pozwala na pewne odtworzenie klimatu nowojorskiej sceny artystycznej lat 80. Nie brakuje oczywiście serii fotografii autorstwa Michaela Halsbanda, na których Basquiat i Warhol pozują jako bokserzy. Dzieła artystów są mozaiką ich stylów. Pojawiają się charakterystyczne dla Jeana-Michela czaszki, graffiti, elementy odwołujące się do kultury afroamerykańskiej, a z drugiej strony silnie widoczny jest Warholowski pop-art. Patrząc na obrazy czuje się, kim są ich autorzy, ale czasem trudno dokładnie wskazać, który z nich mógł być twórcą poszczególnych elementów. Wystawę kończy hołd złożony przez Basquiata Warholowi,

po jego śmierci w 1987 roku. Jean-Michel Basquiat zmarł rok później na skutek przedawkowania heroiny.

Wystawa „Warhol x Basquiat, na cztery ręce”, choć wspomina obu artystów, wydaje się szczególnie istotna dla twórczości Basquiata. Andy Warhol, wchodząc w kolaborację z Basquiatem, był już wtedy ikoną pop-artu, artystą znanym w świecie sztuki. Jean-Michel był bez wątpienia wyjątkowym twórcą, ale też bardzo młodym (pierwszy raz spotkał się z Warholem w wieku 22 lat), co stawało go raczej na początku kariery twórczej. Druga już wystawa Basquiata w Fundacji Louisa Vuittona w Paryżu, po raz kolejny kieruje światło na młodego artystę, który, pomimo krótkiego życia, zostawił swój niepowtarzalny ślad w świecie sztuki.

Daria BAJOREK
darbaj@st.amu.edu.pl



Plakat paryskiej wystawy

Jeden spośród Mandalorian

Wydawać by się mogło, że ścieżki Mando i Grogu już się rozeszły. Jednak trzeci sezon „The Mandalorian” po raz kolejny pozwala obserwować relację tej dwójki na tle towarzyszących im niebezpieczeństw. Wzrastająca skala opowieści zmienia jednak nieco jej ton, a środek ciężkości przenosi się z jednostek na całą mandaloriańską społeczność.

Pierwsze odcinki serialu „The Mandalorian” wniosły powiew świeżości do świata „Gwiezdnych wojen”. Rozgrywająca się na rubieżach galaktyki historia mandaloriańskiego łowcy nagród, Din Djarina, nazywanego też po prostu Mando, przywołała na myśl kosmiczną odmianę westernu. Wywołaniu ciepłych uczuć sprzyjała również postać małego Grogu, ochrzczonego przez oglądających mianem Baby Yody. W trzecim sezonie pewne zabiegi są kontynuowane, jednak fabuła obiera inny kierunek, umiejscawiając bohaterów w szerszym kontekście.

Widać to już na samym początku serialu, choć raczej w negatywnym sensie. W uniwersum „Gwiezdnych wojen” coraz silniejsza jest, obecna również w produkcjach Marvela, tendencja do ścisłego splatania ze sobą poszczególnych filmów i seriali. Dla zrozumienia wszystkich powiązań konieczne staje się oglądanie właściwie każdej produkcji z uniwersum. Nie inaczej jest z „The Mandalorian”, ponieważ znaczna część historii głównego bohatera i jego podopiecznego rozegrała się w

spin-offie „Księga Boby Fetta”. Obejrzenie drugiej i trzeciego sezonu „The Mandalorian” pozostawia istotną lukę fabularną pomiędzy nimi.

Stara konstrukcja, nowe role

Historia jest więc początkowo nieco niepełna, ale szybko przyjmuje charakterystyczną dla poprzednich sezonów konstrukcję. Składa się z zadań pobocznych, przybierających postać „questów”, zleczanych przez starych przyjaciół i napotkanych nieznajomych. Trudno natomiast doszukać się początkowych skojarzeń z westernem. Na tym etapie nie śledzimy już samotnego łowcy nagród, tułającego się po galaktyce wraz z małym towarzyszem. Bohater w tym sezonie pojawia się przede wszystkim w dwóch rolach: członka wspólnoty oraz – nazwijmy to wprost – dumnego taty.

Można powiedzieć, że bohater usunął się na dalszy plan, chowając się za innymi Mandalorianami, a szczególnie za postacią Bo-Katana. Trzeba jednak zauważyć, że to Din Djarin zwykle bierze na siebie najniebezpieczniejsze zadanie i często ma kluczową rolę w pokonaniu przeciwnika. A robi to w sposób niezwykle efektowny – trzeci sezon dostarcza kolejnych świetnie zrealizowanych sekwencji walk, podkreślanych przez dźwięki bardzo rozpoznawalnego już utworu Ludwiga Göranssona. Silniej niż wcześniej eksponowane są starcia w powietrzu, umożliwiane zarówno przez plecaki odrzutowe, jak i nowy statek Mando, szybszy i zwrotniejszy od poprzedniego. Poza obecnością dwóch klanów Mandalorian otrzymujemy szerszą perspektywę również w innym aspekcie. Trzeci sezon daje dokładniejszy wgląd w



W ogniu galaktycznych misji Mando musi mieć wciąż oko na małego Grogu

niepewne pod względem politycznym czasy, w jakich się rozgrywa. Upadłe już Imperium, ale i nie do końca stabilna Nowa Republika stają się wiodącym tematem jednego z odcinków.

Ujmujący duet

Pewnym fenomenem pozostaje fakt, jak bardzo Din Djarin był w stanie zaskarbić sobie serca widzów przez trzy sezony, skoro przez większość czasu ma na głowie szczelny hełm. Nie

jestemy w stanie obserwować jego mimiki, więc warstwę emocjonalną buduje się innymi środkami, przede wszystkim głosem. Utrudnieniem, z którego możemy nie zdawać sobie sprawy, jest konieczność zsynchronizowania mowy ciała Mando z odrębnie nagrywanym głosem Pedra Pascala. Ze względu na liczne sceny akcji, pod kostiumem często ukrywa się jeden z dwóch aktorów-kaskaderów: Brendan Wayne lub Lateef Crowder. Już w pierwszym sezonie, reżyserka jednego z odcinków, Bryce Dallas Howard w rozmowie z „Vulture” przyznała, że podczas pracy nad jej odcinkiem Pedra Pascala wcale nie było na planie. Można się spodziewać, że również w sezonie trzecim na ekranie w dużej mierze widzimy dublerów, szczególnie że Pedro Pascal pracował równocześnie przy „The Last of Us”. Tymczasem zdarza się, że drobne rzeczy, takie jak postawa ciała czy przechylenie głowy, pokazują stosunek Mando do wydarzeń. Wydaje się więc, że udało się zsynchronizować pracę trzech osób bez stworzenia wrażenia niespójności postaci.

Co do relacji bohaterów, to intensywnych emocji nie jest może dużo – najpotężniej wciąż wybrzmiewają w finale drugiego sezonu – chociaż Mando wyraźnie obdarza podopiecznego większym zaufaniem i odpowiedzialnością. Mimo że Grogu pełni w sezonie głównie funkcję komediora, to widać też, że ich relacja wchodzi na kolejny poziom, na którym Grogu staje się mandaloriańskim uczniem, a Din częściej ma sposobność do wyrażenia rodzicielskiej dumy. Fabuła nie krąży już wokół Grogu tak jak w poprzednich sezonach, w których był on katalizatorem całej podróży bohatera. Jednak łącząca ich wciąż staje się stałym elementem serialu, niezmiennym, gdy wokół wzrasta zarówno tempo, jak i skala opowieści.

Maria LUTKOWSKA
marlut1@st.amu.edu.pl

Odczarowane „Lochy i Smoki”

„Dungeons & Dragons: Złodziejski honor” to pierwszy film, który może godnie reprezentować świat Forgotten Realms. Twórcy postarali się o to, aby fani uniwersum poczuli się tak, jak przy kolejnej partii RPG. Czy jednak film jest na tyle dobry, aby spodobał się osobom nieznanym historii z „Lochów i smoków”?

„Dungeons & Dragons” to prekursor fabularnych gier fantasy. Każda rozgrywka oparta jest na scenariuszach odgrywanych przez grupy znajomych, których członkowie wymyślają własne postacie. Dotychczas uniwersum, poza wciągającymi „papierowymi erpegami”, doczekało się wielu udanych książek i gier.

Zwyczaj próby adaptacji tego świata na ekrany kinowe kończyły się klęską. Zmienia to duet Johna Francisca Daleya i Jonathana Goldsteina, który razem zekranizował przygodę w świecie Forgotten Realms. Ich nowe dzieło „D&D: Złodziejski honor” ma szansę stać się godnym reprezentantem tej franczyzy.

Jeden zespół – wiele charakterów

Każde RPG drużyną stać powinno. Tak jest również w przypadku najnowszego filmu D&D. Dwoje reżyserów oddało w ręce widzów prawdziwą historię rodem wyjętą ze świata Forgotten Realms, przedstawiając przygody grupy rzezimieszków na drodze do ich głównego celu – odegrania się na byłym sojuszniku i złej czarownicy.

Bard Edgin, barbarzynka Holga, czarownik Simon i druidka Doric są dobrze napisanymi

postaciami. Każda z nich posiada swoje własne backstory, które wprowadzone jest w życie erpegowy sposób, tak, jakby gracz odczytywał swoją kartę postaci. Równocześnie nie pozostali oni jednowymiarowymi bohaterami. Każdy z nich przechodzi w trakcie przygód własną przemianę, ewoluując i zmieniając swoje spojrzenie na świat.

Filmowy rzut kostką

Nie ulega wątpliwości, że „D&D: Złodziejski honor” to film stworzony z pasją i dla pasji. Adaptacja „Lochów i Smoków”, w pieczołowity sposób oddaje fanom serii cały świat w jednym dziele. Mimo że jest to produkcja kinowa, twórcom udało się zachować klimat znany z sesji RPG. Wyraźnie rzucają się w oczy postacie, które grają główne skrzypce w tej historii. Często ich decyzje, spostrzeżenia i działania są tak losowe, że w jawny sposób nawiązują do rzutu kośćmi i testów umiejętności bohaterów. Nie zabrakło też nieskazitelnych, do bólu dobrych postaci, zachowujących się jak typowe NPCs (non-playable character), których każdy ruch jest zaprogramowany i zawsze kończy się sukcesem. Kolejnym atutem i mrugnięciem oka w stronę fanów są miejsca wspomniane i odwiedzane przez drużynę. W trakcie przygody widzowie mogą znaleźć się w mieście Neverwinter czy podziemnej krainie Underdark.

Film, który może się podobać

„D&D: Złodziejski honor” może na pierwszy rzut oka odpychać swoimi wszędobylskimi nawiązaniami do uniwersum, jednakże nie jest on zarezerwowany wyłącznie dla zagorzałych



„Dungeons & Dragons: Złodziejski honor” oferuje widzom bardziej przyjemną, lecz również epicką przygodę ze świetnymi scenami akcji

miłośników gier fabularnych. Efekt ten osiągnięto dzięki nienachalnej ekspozycji. Świat nie jest tłumaczony na siłę. Bohaterowie nie muszą opowiadać podniosłymi słowami o tym, gdzie się właśnie znajdują i dokąd zmierzają. O tym wszystkim widz dowiaduje się poprzez jedno zdanie, przekładane w dalszej części na naturalne sceny plenerowe. Równocześnie, komediowy charakter filmu skutecznie to-

nuje obecny klimat fantasy. Sceny przepelnione są komizmem i żartami, które w większości przypadków są udane a śmiać mogą się z nich wszyscy.

Dużą zasługą mają w tym dobrze dobrane role. Chris Pine świetnie wcielił się w wygadane go i tworzącego wyimaginowane historie barda, natomiast Michelle Rodriguez, grająca oschłą i zdeterminowaną Helgę, dobrze pokazuje, że nawet najtwardsza wojowniczką ma serce. Na uwagę zasługuje również chemia, która rodzi się między Simonem (Justice Smith) oraz Doric (Sophia Lillis). Ich budująca się w trakcie filmu relacja jest zarazem zabawna i rozbijająca rozczulająca, a w dodatku wcale nie dominuje nad resztą opowieści. Show kradnie jednak Hugh Grant z jego genialnym odwzorowaniem zdradzieckiego lotrzyka, który dla własnego zysku gotów jest zrobić wszystko.

Żaden film nie jest idealny. Tak też jest w przypadku tej produkcji. Oprócz mało szczegółowych efektów specjalnych, rzucającym się w oczy problemem może być sztucznie przeciągający się finał. Widz oglądając końcówkę filmu poczuć może lekkie znużenie, lecz warto przetrwać ten moment, bo ostateczne zakończenie jest bardzo satysfakcjonujące, dające niemalą szansę na kontynuację.

Trudno jest zachować obiektywizm będąc jednocześnie fanem uniwersum. W końcu miłośnicy świata DnD otrzymali film, z którego mogą być dumni. Liczba ciekawostek i nawiązań do pierwowzoru z pewnością ukontentuje każdego, kto czekał na tego typu produkcję. Jednocześnie, zachowany balans i konsekwencja przedstawianej historii pozwolą osobom, które nie miały okazji zgłębić świata Forgotten Realms, dobrze się bawić.

Jonasz ŁAWNICZAK
jonlaw@st.amu.edu.pl

„Honkai Star Rail” (HSR) to nowa, turowa gra gacha, JRPG, z wciągającym światem, dynamicznym systemem walki i genialnie napisanymi postaciami. To wszystko sprawia, że HSR, to znacznie więcej niż klon innych gier wydanych przez MiHoYo.

Gra miała premierę 26 kwietnia na system Windows i urządzenia mobilne; planowane są porty na PlayStation 4 i 5.

Genshin, Honkai... a może Persona?

Bezspornie najpopularniejszą grą wydaną przez MiHoYo jest „Genshin Impact”. W niecały miesiąc po swojej premierze pozycja biła rekordy popularności i sprzedaży. Genshin mimo bycia grą w systemie free to play (by pobrać i zainstalować ją na swój komputer nie musieliśmy wydać ani grosza), przez formę gachy, czyli growego hazardu, szybko „otworzył portfel” niejednej osobie.

Ten sam system znajdziemy również w „Honkai Star Rail”, jednakże tutaj jest on o wiele bardziej łagodny i przyjemny dla graczy, zwłaszcza tych, którzy nie zamierzają wydać ani grosza. W przeciwieństwie do Genshina na „banerze dla początkujących” (by zdobyć nową postać w grze musimy skorzystać z mechanizmu gachy), w HSR mamy gwarantowaną lepszą, pięciogwiazdkową postać, a na permanentnym banerze po zużyciu 300 losów możemy nawet jedną wybrać. Zmianę na plus najbardziej widać na banerze z bronią – tutaj nie musimy wydać aż tak dużo losów co w Genshinie.

„Honkai Star Rail” ma o wiele więcej wspólnego ze starszą grą MiHoYo – „Honkai Impact 3”, aniżeli Genshinem. Niektóre z postaci HSR, znajdziemy również w Honkai Impact 3, jednakże każda postać, oprócz tej, która pochodziła z poprzedniej serii, otrzymała nową tożsamość. Żeby nie spoilerować za bardzo fabuły, nie po-

Wsiąść do pociągu byle jakiego



Plakat promujący grę

wiem kto podróżował przez wymiary ze świata „Honkai Impact 3” do świata HSR (tak HSR to alternatywny wszechświat Honkaia).

Kiedy mówimy o grach turowych, pierwsze skojarzenie jakie przychodzi nam na myśl, to Pokemony i seria gier Persona. Co ciekawe twórcy HSR, przyznali, że przy tworzeniu gry mocno inspirowali się Personą 5. Mapy do eksploracji zbudowane są w podobny sposób, co dungeony w Personie 5, nawet jedna z głównych postaci, Dan Heng, ludzko przypomina protagonistę Jokera. Mnie osobiście, jako wielkiego fana serii gier Persony, usłyszenie o fackie podobieństw między postaciami jedynie zachęciło do spróbowania HSR.

Ciuchcią przez wszechświat

Pomijając podobieństwa do wcześniej wspomnianych gier, HSR jest całkiem oryginalna pod względem fabularnym. Łączy ona ele-

menty fantasy z sci-fi w sposób dość niekonwencjonalny.

Fabula gry zaczyna się w momencie, gdy stacja kosmiczna Herta Space Station zostaje napadnięta przez kosmitów. Na stacji znajduje się Stellaron, znany również jako Rak Wszystkich Światów, enigmatyczna moc zasiana we wszechświecie przez Eon Zniszczenia, Nanooka. Uważana jest ona za ziarno katastrofy, które powoduje ogromne zmiany w cywilizacjach i ekosystemach oraz skutkuje pojawieniem się Fragmentum (tajemniczej anomalii). Atak na stację kosmiczną wykorzystują łowcy Stellaronu, przesuńjąc się niezauważeni.

Łowcy jednak nie zabierają ze sobą owego niebezpiecznego ziarna, a materializują hosta-gracza (mamy możliwość wyboru płci, jednakże nie wyglądu), a następnie opuszczają miejsce zdarzenia. Główna postać jest nieprzytomna aż do momentu, gdy znajdują ją March 7 oraz Dang

Heng, pasażerowie Astral Express – dużego pociągu, podróżującego przez galaktykę.

Pod koniec wydarzeń z prologu gracz ma możliwość dołączyć do ekipy Astral Express i rozpocząć swoją podróż w nieznane. Co ciekawe, jest też opcja odmowy propozycji Himeko – nawigatorki Astral Express. Dostaniemy wtedy ukryte zakończenie Honkai Star Rail. Jeśli jednak zgodzimy się, pociąg zabierze nas na kolejną planetę, pokrytą wiecznym śniegiem –

Czy warto?

Kiedy mowa o grach komputerowych, zazwyczaj w dyskusji pada pytanie: „czy w ogóle warto grę uruchamiać?” Tak samo i tutaj wiele osób ma dylemat, czy podejść do Star Raila. Mimo że jest to gra darmowa, nadal jest to gra gacha, czyli chcąc nie chcąc mamy do czynienia z hazardem, co skutecznie odstrasza część graczy. Innych zniechęca system walk turowych – to się kocha, albo nienawidzi.

Mnie, jako weteranki tego typu gier, nie zraziły oba zastrzeżenia. Dałam szansę HSR i się nie zawiodłam. Choć z początku fabuła mnie dość nużyła, to wraz z odkrywaniem nowych planet i poznawaniem nowych postaci, czułam się nią coraz bardziej zafascynowana. Jestem wielką fanką turowek, więc miałam o wiele więcej frajdy z gameplayu niż w genshinie czy drugim honkaiu.

Podsumowując grę na pewno warto chociaż zainstalować i przejść samouczek. Aby go ukończyć nie potrzeba dużo czasu, a da nam on przedsmak tego, czego możemy spodziewać się w późniejszej części gry. Zawsze najlepiej spróbować na własnej skórze, czy coś nam będzie odpowiadać, czy nie, a skoro HSR jest grą darmową, próba nie zabolę naszego portfela.

Olga MICHALSKA
olgmic3@st.amu.edu.pl

„Dlatego żałuję, że urostem” – tym tekstem raszyński raper kwituje rozprawę o dorosłości w tytułowym „Małym Księciu”. Jego pierwszy solowy album zabiera nas w podróż przez kolejne etapy dorastania artysty i związane z nimi rozterki. A przynajmniej tak utrzymuje sam twórca.

Kto choć trochę polską scenę rapową śledzi, ten wie, że Taco Hemingway to nie jedyny wąsacz związany ze stolicą. W jednym na pewno i Avi, i Taco są konsekwentni – pieczołowicie trzymają swoje życie prywatne pod kłosem. Zatem nie dowiedzie się o nich więcej poza historiami opisywanymi w ich własnych utworach. Kryjący się pod pseudonimem Avi Kamil Zalewski debiutował w duecie z producentem Louistem Villainem w SB Maffiji, którą obaj opuścili w dość burzliwej atmosferze w 2018 roku. Od tamtej pory działają w założonej przez Avi’ego Moya Label, gdzie na świat wyszły ich albumy „Zbiór Pieśni Sycylijskich”, „Spis Dzieł Sycylijskich” oraz „Akademia Sztuk Pięknych”.

Wysokie oczekiwania

Avi przez ostatnie lata zdążył wyrobić sobie solidną markę i zgromadzić szerokie grono fanów. Nie obeszło się to bez echa w momencie premiery „Małego Księcia” pod koniec marca – jak podaje glamrap.pl, przez kolejny tydzień uplasował się on na szczycie zestawienia OLiS we wszystkich kategoriach sprzedażowych: albumy, albumy w streamie oraz albumy fizyczne. Zalewski narobił fanom apetytu nie tylko pięcioma singlami zapowiadającymi krążek, ale przede wszystkim wysoko postawioną po-

Avi, to co z tą legendą?

przeczką w „Akademii Sztuk Pięknych”. Wiadomo było, że liryczny geniusz, jakim Avi wykazał się na poprzednich albumach, musi ujawnić się znowu. Jednak po odsłuchu płyty odbiorca może pozostać nieco skonsternowany.

Na pierwszy rzut oka (a może raczej ucha?) wszystko gra. Jest koncept, opatrzony piękną klamrą w postaci intro i outro albumu. Avi rozpoczyna „Małego Księcia” odpowiedziami dzieci na pytanie o wymarzony zawód w przyszłości, a kończy wyznaniem dorosłych o tym, czego najbardziej żałują. Produkcja też brzmi niezłe – tutaj w szczególności brawa należą się @atutowemu, Druidowi oraz Louisowi Villainowi, który powrócił w kawałku „Cierpienia Młodego Diler”. Niestety, nie obyło się bez potknięć.

Co tu się stało?

Choć Avi wciąż potrafi zmusić do refleksji, co robi w numerze tytułowym lub w „Requiem” („Kusiły szybkie wózki i piękne kobiety i drogie hotele / Dopiero teraz zaczynam rozumieć co miał na myśli Kohelet”), tak momentami jego rap kuleje. Wersy „Mama mówiła, że nie będzie tak źle i że jak urosnę to stanę się wielki / Ale jak zobaczyłem, z czym to się je, to chyba nabawiłem się od tego alergii” wyglądają niezłe na papierze, ale Avi doręcza je bez większego polotu, jakby od niechcenia. Co prawda na poprzedniej płycie deklarował, że „nie rapuje, tylko recytuje wiersze”, jednak czasami jego wykonanie nie jest bliskie ani jednej, ani drugiej formie.

Głównym minusem nie jest jednak recytacja, bo poza chwilami zawahania zarówno po-



Scena promocyjna „Małego Księcia”

czątek, jak i koniec płyty trzymają poziom. Avi wydaje się zagubiony w swoich własnych numerach, co objawia się najmocniej w środkowej części albumu. „Fred Astaire” jest próbą wejścia ze swoją muzyką na parkiety polskich klubów, lecz większy klimat nocnej balangi

przekazuje słuchaczom raczej gościnny Oskar z duetu PRO8BL3M. „Amaretto” to piosenka o miłości osadzona w historii romansu złodziei, która może i nie jest najgorsza w odbiorze, ale kompletnie nie pasuje do konceptu płyty opowiadającej o problemach dorosłości. „Warsaw Vice” maluje obraz życia w Warszawie, co ma duży potencjał, jednakże mówienie w refrenie o „robieniu hajsu tak jak bicepsu” wydaje się tanim chwytem jak na standardy rapera.

Nie spisujcie go na straty

Pomimo wspomnianych wad, nie można uznać „Małego Księcia” za kompletne fiasko. Ostatnia część płyty wynagradza słabsze kawałki, bo Avi wypływa na swoje tereny, jakimi są filozoficzne rozprawy o życiu. To tutaj rzeczywiście zaczyna się koncept, który raper próbował przekazać od pierwszych minut albumu. Jest historia o drodze na szczyt, jest krytyka materialistów i impresjonistyczne postrzeganie życia („C’est La Vie” przyprawia o ciarki przy każdym odsłuchu), a to w połączeniu ze znakomitym bitem czyni Avi’ego tym, kim od zawsze chciał być – artystą.

Trzeba też chylić czoła przed Zalewskim za to, że próbował stworzyć coś odmiennego od czasów „Akademii Sztuk Pięknych”. Jego solowy debiut udowodnił przede wszystkim, że nie każdy musi rapować o imprezach i przestępcach, żeby trafić do odbiorców – polska scena widziała już wielu takich wykonawców. Jak sam stwierdził w utworze „Gelenda”, Avi „ma wszystko, żeby stać się legendą”. Ostatnie kawałki na płycie są potwierdzeniem tej obietnicy. Miejmy nadzieję, że dalsza kariera rapera tylko ją przypieczętuje.

Karolina HAŁABIŚ
karhal2@st.amu.edu.pl

Start sezonu siatkówki – co czeka Polaków?

Już wkrótce rozpocznie się siatkarski sezon reprezentacyjny. Zarówno panie, jak i panów czekają m.in. Mistrzostwa Europy oraz kwalifikacje olimpijskie. Sezon rozpocznie się od zmagania w Lidze Narodów, która ruszy 30 maja.

Jako pierwsze do rywalizacji przystąpią kobiety. Mężczyźni rozpoczną zmagania tydzień później. Polki swój premierowy turniej zagrają w Tureckiej Antalyi, natomiast podopieczni Nikoli Grbicia wybiorą się do odległej Japonii.

Pierwszy raz w Polsce

W zawodach co roku bierze udział 16 państw. Każda z drużyn rozgrywa ze sobą po jednym spotkaniu w trakcie miniturniejów, których gospodarzami będą uczestnicy rozgrywek. Do kolejnej fazy awansuje siedem najlepszych drużyn z tabeli i gospodarz turnieju finałowego.

W tej edycji organizatorem finałów kobiet będą Stany Zjednoczone Ameryki, natomiast Polska zorganizuje turniej „Final eight” mężczyzn. Oznacza to, że biało-czerwoni, bez względu na wynik w fazie zasadniczej, awansują do finałów. Decydujące starcia odbędą się w gdańskiej Ergo Arenie. Dla podopiecznych Grbicia będzie to doskonała okazja do wygrania Ligi Narodów po raz pierwszy w historii.

Polacy obronią brąz ME?

Biało-czerwoni na ostatnich mistrzostwach starego kontynentu zdobyli brązowy medal i teraz będą walczyć o, co najmniej, powtórzenie tego sukcesu. Zadanie jednak nie będzie łatwe. Zabraknie oczywiście takich potęg jak Stany Zjednoczone czy Brazylia, jednak stawka i tak jest niezwykle mocna. Głównymi faworytami poza Polską są Francja, Włochy czy Słowenia.

Podopieczni Nikoli Grbicia trafili do grupy C razem z współgospodarzami turnieju Macedonią, Czarnogórą, Czechami, Holandią i Danią. Biorąc pod uwagę klasę przeciwników oraz to, że do kolejnej fazy awansują 4 zespoły, to rozgrywki grupowe będą prawdopodobnie dla wicemistrzów świata rozgrzewką przed fazą pucharową, gdzie mogą trafić na znacznie silniejszych rywali. Biało-czerwoni pierwszy mecz zagrają z reprezentacją Czech 31 sierpnia.



W Gdańskiej Ergo Arenie odbędzie się turniej „Final eight”

Mistrzostwa Europy będą rozgrywać również panie. Szansa na medal Polek nie jest tak duża, jak w przypadku panów. Tutaj celem powinien być ćwierćfinał, a jeśli uda się awansować do strefy medalowej będzie to ogromny sukces naszych zawodniczek. Podopieczne Stefano Lavariniego trafiły do grupy A razem z Serbkami, Belgijkami, Węgierkami, Ukrainkami oraz Słowenkami. Pierwszy mecz Polki rozegrają z reprezentacją Słowenii 18 sierpnia.

Kierunek Paryż

Po Mistrzostwach Europy przyjdzie czas na punkt kulminacyjny sezonu, czyli eliminacje olimpijskie. Zostaną one rozegrane w formie grupowych turniejów. Z każdej grupy awansują po dwa zespoły, które pojedają na przyszłoroczne Igrzyska w Paryżu.

Biało-czerwone będą gospodarzami turnieju, który odbędzie się w dniach 16–24 września. Polki czeka trudne zadanie, bowiem ich przeciwniczkami będą bardzo mocne zespoły Amerykanek oraz Włoszek. Poza nimi w turnieju zagrają jeszcze reprezentantki Niemiec, Tajlandii, Kolumbii, Korei Południowej oraz Słowenii. Awans

Polek z tej grupy byłby sporym zaskoczeniem, jednak atut własnej hali może mocno pomóc naszemu zawodniczkom.

Wicemistrzowie świata batalią o awans na Igrzyska stoczą w Chinach w dniach od 30 września do 8 października. W ich przypadku bezpośredni awans jest wręcz obowiązkiem, ze względu na klasę rywali, z którymi przyjdzie im się zmierzyć. Polacy uniknęli takich potęg jak Brazylia, Stany Zjednoczone czy Włochy dzięki pierwszej pozycji w rankingu FIVB. Biało-czerwoni zagrają z gospodarzami, czyli Chinami, Argentyną, Holandią, Kanadą, Meksykiem, Belgią oraz Bułgarią.

Zarówno Nikola Grbić, jak i Stefano Lavarini ogłosili już szerokie kadry na zbliżający się sezon. Najważniejszą informacją dla kibiców jest powrót po kontuzji Wilfredo Leona. Poza nim do kadry powraca również Artur Szalpuk. Z kolei powołanie do damskiej reprezentacji ponownie otrzymała Malwina Smarzek, która opuściła poprzedni sezon.

Bartosz CHAŁUPKA
barcha1@st.amu.edu.pl

Od 2013 roku jest reprezentantką Królestwa Niderlandów, choć urodziła się w Adamie, środkowej Etiopii. Sifan Hassan od lat inspiruje i motywuje, a jej siła ducha zwycięża nad materią. 23 kwietnia dokonała rzeczy niemożliwej. Wygrała londyński maraton, wygrywając zawody na kolejnym – dziesiątym już dystansie.

Sifan Hassan urodziła się 1 stycznia 1993 roku. Już jako piętnastolatka opuściła z powodu braku środków do życia i perspektywy rodzinnej Etiopii i przeprowadziła się do Amsterdamu, gdzie rozpoczęła studia pielęgniarstwa. Od tej pory zaczęła też poważnie przygodę z bieganiem. W Etiopii biegła tylko rekreacyjnie. Pierwszy klub sportowy, pierwszy trener i pierwsze medale to właśnie holenderski finał historii biegaczki. Obywatelką kraju tulipanów jest od 2013 roku.

Medalowe żniwa przez lata

Od wspomnianego już 2013 roku Hassan zaczęła kolekcjonować kolejne medale z najważniejszych imprez lekkoatletycznych. Pierwszym dużym wynikiem było Mistrzostwo Europy w biegach przełajowych w kategorii młodzieżowej. Po wygranej w Belgradzie dwa lata później była już najlepsza w seniorskiej elicie. Już przed drugim złotem sztab szkoleniowy podjął decyzję o zmianie lasów i łąk na stadiony i hale. Pierwszy poważny sukces w rywalizacji na lekkoatletycznym stadionie odniosła podczas ME w Zurychu, z których przywiozła złoto na 1500 metrów i srebro na dystansie 5 kilometrów. W trakcie dziesięcioletniej kariery wywalczyła siedem medali MŚ. Jest trzykrotną mistrzynią globu na dystansach 1500 i 10 000 metrów.

Zwieńczeniem kariery biegaczki stadionowej na długich dystansach miały być dla Sifan Igrzyska Olimpijskie w Tokio. Japoński sen spełniła prawie w całości. Prawie, bo z trzech dystansów przywiozła dwa złota i brąz. W najdłuższych stadionowych dystansach, czyli na 5000 i 10 000 metrów nie miała sobie równych. W biegu na 1500 metrów była trzecia. Ten ostatni dystans wpisał Hassan do annałów lekkoatletyki. W eliminacjach biegu na prawie cztery okrążenia tuż po starcie Sifan potknęła się o nogi jed-

Rekordzistka biegów długich



Sifan Hassan jest dwukrotną mistrzynią olimpijską i multimedalistką Mistrzostw Świata

nej z rywalek. Straciła równowagę i upadła. Gdy wstała, do czołówki traciła ponad 30 metrów, odrobiła wszystkie starty, awansowała do półfinału, potem do finału, w którym pobiegła po brąz.

Rekordzistka przez wielkie R

Sifan Hassan od tego roku może poszczycić się rekordami życiowymi na dziesięciu różnych dystansach lekkoatletycznych. Biegła i biega na najważniejszych światowych imprezach wszystkie długodystansowe biegi. Od 800 metrów do maratonu, czyli 42 195 metrów. Wyniki na każdym z tych dystansów to ścisła czołówka lekkoatletycznych tabel wszech czasów. Niderlandka jest dziś rekordzistką świata w biegu na milę, 10 000 metrów oraz w biegu godzinnym. Rekordy Europy dzierży na dystansach 1500, 3000 i 5000 metrów oraz w półmaratonie. Jej wyniki na 800 metrów i w biegu o dwieście metrów dłuższym są w czołowej dziesiątce tabel historycznych. 23 kwietnia Hassan uzupełniła swoje sportowe portfolio.

Pierwszy raz postanowiła wystartować w maratonie. Swój debiut, mimo wielu przeciwności, może zaliczyć do udanych. Do mety dobiegła pierwsza, choć na trasie dopadły ją bóle biodra. Pochodząca z Etiopii biegaczka na 12 kilometrów zatrzymała się, aby rozciągnąć kluczowe partie ciała. Ruszyła dalej, ale na jej twarzy rysował się grymas bólu, poza tym najszybsze biegaczki uciekły na odległość około 50 metrów. Mimo tych przeciwności 30-letnia zawodniczka wykazała się ogromną determinacją i w drugiej części dystansu zdołała zniwelować 30-sekundową stratę do prowadzącej grupy. Na finiszowej prostej pokonała Kenijki: Alemu Megertu i Peres Jepchirchir.

Sportowa karta Sifan Hassan nie jest jeszcze zapisana. Za rok w Paryżu postara się zdobyć swoje kolejne olimpijskie złoto. To jakie dystanse wybierze, zależy tylko od niej. Jedno jest pewne, że na każdym będzie faworytką. Hart ducha i waleczność, jaką można by obdzielić niejednym żołnierskim batalionem, motywuje i inspiruje od lat. Historia Niderlandki to nie tylko samo bieganie, to także walka o lepsze życie i swoje marzenia.

Eryk WIĘSYK
erywie@st.amu.edu.pl

Kłopotliwy monopolista sportowego streamingu



W Viaplay można oglądać między innymi Premier League oraz Formułę 1, choć nie zawsze bezproblemowo

Streaming już na stałe wpisał się w krajobraz medialny. Dzięki niemu oglądamy filmy i słuchamy muzyki. Oglądać można też sport, co umożliwia na przykład Viaplay, choć jest to nieco problematyczna platforma.

Streaming jest wszechobecny. Wielkie platformy takie jak Netflix czy Amazon pokazują, że mogą być skuteczną konkurencją dla telewizji. Jednak obecnie z wielkiego streamingowego tortu każdy próbuje ukroić swój kawałek, a wśród walczących o swoją część rynku jest Viaplay, który specjalizuje się w sporcie.

Streaming w stylu skandynawskim

Viaplay to jedna z najstarszych usług dostępnych na rynku, choć na początku jej zasięg ograniczał się do rodzimej Szwecji. Platforma wystartowała w 2008 roku jako Viasat OnDemand, oferując tematykę sportową oraz produkcje filmowe i seriale tworzone przez telewizyjny kanał Viasat. Z czasem platforma zaczęła się rozwijać, oferując coraz szerszą bibliotekę filmów, w tym takie klasyki jak „Pulp Fiction” czy trylogia „Ojca Chrzestnego”.

Od 2020 roku Viaplay zaczęło rozwijać się poza Skandynawię oraz postawiło na agresywną politykę, zwłaszcza pod względem sportowym. Platforma szybko kupiła wyłączne prawa do transmisji wielu sportowych wydarzeń, takich jak mecze piłkarskie czy wyścigi samochodowe. W Polsce serwis ten przejął między innymi transmisje meczów Bundesligi oraz Premier League, Ligi Europy, Ligi Konferencji, a także wyścigów Formuły 1 czy IndyCar, transmisje gal KSW czy też meczów hokejowej ligi NHL. Do tego Skandynawowie postawili na podpisywanie kontraktów z popularnymi sportowcami, którzy zostali w ten sposób ich ambasadorami – wśród nich są napastnik Manchesteru City Erling Haaland oraz obecny mistrz Formuły 1 Max Verstappen.

Do tego problemem jest jakość obrazu – transmisje sportowe nadawane są w jakości 720p, co jak na czasy, w których standardem jest obraz 4K, wydaje się kpiną. Jedynie Formuła 1 nadawana jest w wyższej jakości 1080p, czyli Full HD. Choć platforma zapowiada z czasem poprawę jakości transmisji, to aktualna oferta w takim niskim standardzie naprawdę nie prezentuje się najlepiej.

Między wi-fi a kablem

Po premierze w 2021 roku Viaplay stało się w Polsce platformą dominującą pod względem oferty sportowej – a o wiele szerszej od konkurencyjnych Eleven Sports (piłka nożna: liga włoska, hiszpańska i francuska) oraz DAZN (boks oraz NFL) czy Eurosportu. Jak się jednak okazuje, jest to platforma wadliwa, na której oglądanie wydarzeń sportowych może być trudne.

Problemy dotyczą przede wszystkim stałości połączenia – podczas transmisji bardziej popularnych wydarzeń serwery nie zawsze wytrzymały i dochodziło do opóźnień oraz chwilowego wieszania się transmisji, nie wspominając już o utracie jakości obrazu, za co Viaplay wielokrotnie musiało przeproszać. Wybuchła nawet głośna afera spowodowana awarią usługi w chwili, gdy Robert Lewandowski strzelił gola na 1:1 podczas meczu Bayernu Monachium z Borussia Dortmund. Rozwiązaniem może być korzystanie z połączenia przewodowego oraz, jeśli wasz operator telewi-

zyjny to oferuje, dokupienie Viaplay w pakiecie i korzystanie z platformy przez dekoder. Nie zawsze jednak takie rozwiązanie pomaga zatrzymać chwilowe spadki jakości obrazu.

Wysoka cena i średnia jakość

Viaplay oferuje wiele wydarzeń sportowych, jednak ta mnogość przekłada się również na wysoką cenę. Platforma posiada kilka pakietów, jednak sport zaczyna się dopiero od pakietu Medium, który kosztuje aż 40 złotych miesięcznie. Do tego trzeba dodać, że KSW, Premier League oraz Formuła 1 są dostępne tylko w najdroższym pakiecie Total, który kosztuje 55 złotych za miesiąc! Ceny są wręcz zaporowe i zamiast wysokich zysków mogą przynieść utratę widzów.

Do tego problemem jest jakość obrazu – transmisje sportowe nadawane są w jakości 720p, co jak na czasy, w których standardem jest obraz 4K, wydaje się kpiną. Jedynie Formuła 1 nadawana jest w wyższej jakości 1080p, czyli Full HD. Choć platforma zapowiada z czasem poprawę jakości transmisji, to aktualna oferta w takim niskim standardzie naprawdę nie prezentuje się najlepiej.

Viaplay pod względem sportowym jest warte rozważenia ze względu na szeroką ofertę dyscyplin. Do tego oferuje naprawdę rozbudowany zespół składający się ze znanych twarzy świata komentatorów i ekspertów, takich jak: Mateusz Borek, Łukasz Piszczek, Andrzej Twarowski czy Mikołaj Sokół. Plusem jest także brak reklam, chyba że uznamy za nie promocję własnych materiałów. Viaplay ma jednak też swoje minusy, czyli przeciętną jakość obrazu, występujące problemy techniczne oraz nieadekwatnie wysoką cenę. Skandynawski serwis jest więc niczym słynne szwedzkie kiszony śledzie surströmming – z jednej strony „mięcho” jest pyszne, z drugiej zaś wszystko wokół strasznie śmierdzi.

Bartosz KABACIŃSKI
barkab1@st.amu.edu.pl